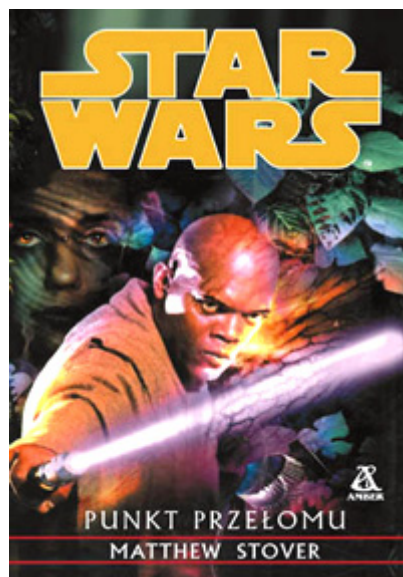


Matthew Stover - SHATTERPOINT PUNKT PRZEŁOMU



CHRONOLOGIA WOJEN KLONÓW (Miesiące po ataku klonów)

Po wojnie o Geonosis Republika pogrążyła się w nowym konflikcie na skalę gigantyczną. Po jednej stronie znalazła się Konfederacja Niezależnych Systemów (zwana separatystami) pod wodzą charyzmatycznego hrabiego Dooku, cieszącego się poparciem wielu potężnych gildii i organizacji handlowych wraz z ich armiami robotów.

Po drugiej stronie stanęli lojaliści Republiki wraz z nowo utworzoną armią klonów pod przywództwem Jedi. Wojna toczy się na tysiącach frontów, po obu stronach widać wielkie poświęcenia i heroizm.

- 0 Bitwa o Geonosis
- 0 Pościg za hrabią Dooku
- 1 Bitwa o Raxus Prime
- 1 Projekt „Czarny Kosiarz”
- 1,5 Spisek na Aargau
- 2 Bitwa o Kamino
- 3 Obrona Naboo
- 6 Kryzys na Haruun Kal
- 9 Rewolta na Dagu
- 12 Zagrożenie ze strony biorobotów
- 15 Bitwa o Jabiim
- 20 Podbój Praesitlyn

ZDRÓW NA UMYŚLE I NIEBEZPIECZNY

Z prywatnych dzienników Mace'a Windu

W marzeniach zawsze postępuję właściwie.

W marzeniach stoję na balkonie areny. Geonosis. Pomarańczowy żar zdziera cień z moich oczu. Podo mną, na piasku: Obi-Wan Kenobi, Anakin Skywalker, senator Padmé Amidala. Na grubo ciosanym kamieniu, w zasięgu mojej ręki: Nute Gunray. W zasięgu mojego miecza: Jango Fett.

I mistrz Dooku.

Nie. Już nie mistrz. Hrabia Doku.

Może nigdy się nie przyzwyczaję, aby go tak nazywać. Nawet we śnie.

Jango Fett jest najeżony bronią. To instynktowny morderca, najbardziej zabójczy człowiek w galaktyce. Jango może mnie zabić w ułamku sekundy. Wiedziałbym o tym, nawet gdybym nigdy nie widział raportu Kenobiego z Kamino. Czuję brutalność, którą emanuje Jango: poprzez Moc wibruje jak pulsar śmierci.

Ale tym razem robię to jak należy.

Moje ostrze nie podświetla kwadratowej szczęki Fetta. Nie tracę czasu na słowa. Nie waham się.

Wierzę.

W moim śnie purpurowy promień miecza z sykiem przecina siwe włosy brody Dooku. W krytycznym ułamku sekundy, którego Jango Fett potrzebował, aby wycelować i wystrzelić, obracam ostrze i zabieram Dooku ze sobą w otchłań śmierci.

I ratuję galaktykę od wojny domowej.

Mogłem to uczynić.

Mogłem to uczynić.

Wiedziałem. Czuję to.

W otaczającym mnie zawirowaniu Mocy czuję więź, jaką Dooku stworzył pomiędzy Janga a Federacją Handlową, Geonozjanami, całym ruchem separatystów; więź zachłanności i strachu, kłamstwa i ponizenia. Nie wiedziałem, czym jest... nie wiedziałem, jak Dooku ją stworzył ani dlaczego... lecz czuję jej siłę, tę siłę, znaną mi teraz jako sieć zdrady, którą upłócił, by omotać galaktykę.

Czuję, że gdyby go nie było, by podtrzymywać tę sieć, naprawiać jej usterki i wzmacniać nici, sieć zgniłaby, zwiędła i rozpadła się, aż wreszcie jeden oddech by wystarczył, aby ją rozedrzeć na strzępy i rzucić poszarpane nici w nieskończoność gwiazdnych burz.

Dooku był punktem rozpadu.

Wiedziałem.

Taki mam dar.

Wyobraźcie sobie klejnot Corusca: minerał, którego struktura krystaliczna jest tak spoista, że czyni go twardszym od durastali. Możesz go uderzyć pięciokilowym młotem i uszkodzić młot. Lecz ta sama struktura, która daje mu wytrzymałość, jest również źródłem punktów rozpadu: miejsc, gdzie precyzyjne przyłożenie starannie odmierzonej siły – nie więcej niż delikatne stuknięcie – rozbije go na części. Znalezienie jednak tych punktów, co pozwala na ukształtowanie klejnotów Corusca w przedmioty piękne i użyteczne, wymaga lat nauki, dokładnego zrozumienia struktury kryształu i surowych ćwiczeń, aby użyć dłoni w doskonałej kombinacji siły i precyzji, pozwalającej na uzyskanie żądanej fasety.

Chyba że macie taki talent, jak ja.

Bo ja widzę te punkty rozpadu.

Nie używam do tego wzroku, lecz „widzenie” jest najlepszym terminem, jaki można znaleźć w basicu: to postrzeganie, odbieranie, jak to, na co patrzę, wpasowuje się w Moc, jak Moc wplata w tą samą siebie i we wszystko inne. Miałem sześć czy siedem lat standardowych... od dawna szkoliłem się już w Świątyni Jedi... kiedy stwierdziłem, że inni studenci, dorośli rycerze Jedi, nawet mądrzy mistrzowie wyczuwają takie połączenia z wielką trudnością i tylko przy dużej wprawie i koncentracji. Moc ukazuje mi silne i słabe strony, ukryte wady i nieoczekiwane możliwości wykorzystania. Ukazuje mi wektory naprężeń, które ściskają lub rozciągają, skręcają lub ścinają; ukazuje mi, jak wzorce tych wektorów, przecinając się, tworzą matrycę rzeczywistości.

Mówiąc krótko: kiedy patrzę na ciebie poprzez Moc, widzę, gdzie się rozpadniesz.

Spojrzałem na Janga Fetta na piasku geonozyjskiej areny. Doskonała kombinacja broni, umiejętności i chęci, by ich użyć: spoisty kryształ zabójcy. Moc podsunęła mi punkt rozpadu – a ja pozostawiłem na piasku pozbawione głowy ciało.

Najbardziej zabójczy człowiek w galaktyce.

Teraz po prostu martwy.

Sytuacje mają punkty rozpadu, tak samo jak klejnoty. Lecz punkty sytuacji są płynne, efemeryczne, pojawiają się na króciutką chwilę i znikają zaraz, nie pozostawiając śladu swojego istnienia. Zawsze są funkcją czasu.

Nie ma czegoś takiego jak druga szansa.

Jeśli... kiedyś... następnym razem spotkam się z Dooku, nie będzie on już punktem rozpadu wojny. Nie zdołam powstrzymać wojny jedną śmiercią.

A wtedy, tamtego dnia na arenie Geonosis, mogłem to uczynić.

Kilka dni po bitwie Mistrz Yoda znalazł mnie w komnacie medytacji w Świątyni.

– Przyjacielem twoim był – rzekł stareńki mistrz, kuśtykając ku mnie. Yoda ma ten szczególny dar; zawsze zdaje się wiedzieć, o czym myślę. – Szacunek mu winien jesteś. Sympatię nawet. Zabić go nie mogłeś... nie dla uczucia tylko...

Ależ mogłem.

Powinienem był.

Nasz zakon zabrania budowania osobistych więzi z tej właśnie przyczyny. Gdybym go tak nie szanował... nie kochał... galaktyka mogłaby teraz cieszyć się pokojem. „Uczucie tylko”, powiedział Yoda.

Jestem Jedi.

Od urodzenia uczono mnie ufać swoim uczuciom.

Którym jednak uczuciom powinienem był ufać?

Miałem do wyboru – zabić dawnego mistrza Jedi lub uratować Kenobiego, młodego Skywalkera i panią senator... pozwoliłem, aby Moc wybrała za mnie. Posłuchałem instynktu.

Dokonałem wyboru jak Jedi.

I teraz Dooku żyje. I teraz galaktyka jest w stanie wojny. I teraz wielu z moich przyjaciół poległo.

Nie ma czegoś takiego jak druga szansa.

Dziwne: jestem Jedi, a jednak pogrążam się w żalu nad oszczędzonym życiem.

Wielu z tych, którzy przeżyli Geonosis, ma teraz koszmary. Słyszałem, jak opowiadali o tym uzdrowiciele Jedi, którzy ich leczyli. Koszmary to nieunikniona konsekwencja: takiej rzeźni Jedi nie było od czasu Wojny Sithów. Żaden z nich nie wiedział, jak to jest stać na tej arenie, otoczony ciałami przyjaciół, w palącym pomarańczowym słońcu południa i smrodzie przesiąkniętego krwią piasku. Być może jestem jedynym weteranem Geonosis, który nie cierpi koszmarów związanych z tym miejscem.

Ponieważ w moich snach zawsze postępuję właściwie.

Mój koszmar zaczyna się, kiedy otwieram oczy.

Jedi też mają swoje punkty rozpadu.

Mace Windu zatrzymał się w drzwiach, próbując odzyskać spokój. Kaptur jego szaty znaczył półksiężyc potu; tunika lepiła się do skóry. Szedł prosto z sali treningowej w Świątyni i nie zdążył wziąć prysznic. Szybki krok – prawie bieg – jakim przemierzał labirynt Senatu Galaktycznego, też nie pomógł mu dojść do siebie.

Rozpościerał się przed nim widok na prywatny gabinet Palpatine'a w apartamencie kanclerza pod Wielką Rotundą Senatu – ogromne, surowe pomieszczenie. Przestrzeń błyszczącej ebonitowej podłogi, kilka prostych wyściełanych krzeseł, proste, również ebonitowe biurko. Żadnych obrazów, rysunków czy dekoracji, z wyjątkiem dwóch samotnych posągów; tylko wielkie, ciągnące się od sufitu po podłogę, samopowtarzalne obrazy holograficzne, przedstawiające w czasie rzeczywistym obrazy z galaktycznego miasta widzianego z kopuły senatu. Na zewnątrz zwierciadła orbitalne wkrótce odwrócą się od słońca Coruscant, sprowadzając zmierzch na miasto.

W gabinecie był tylko Yoda. Siedział poważnie na krześle repulsorowym, z dłońmi na główce laski.

– Na czas przyszedłeś – zauważył stary mistrz. – Siadaj. Skupieni być musimy. To poważna sprawa, tak myślę.

– Nie spodziewałem się atrakcji. – Buty Mace'a stukały po lśniącej podłodze. Przysunął bliżej Yody jedno z miękkich, prostych krzeseł i usiadł twarzą do biurka. Zaciskał szczęki do bólu. – Posłaniec powiedział, że chodzi o operację na Haruun Kal.

Skoro z wszystkich członków Rady Jedi i Najwyższego Dowództwa Republiki kanclerz wezwał jedynie dwóch najstarszych członków rady, należało się spodziewać, że wieści nie są dobre.

Ci dwaj najstarsi członkowie rady nie mogliby się bardziej różnić od siebie. Yoda miał zaledwie jakieś sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, skórę zieloną jak wędrowne porosty i wielkie, wypukłe oczy, które chwilami zdawały się błyszczeć własnym światłem. Mace nawet jak na człowieka był wysoki; miał niewiele mniej niż dwa metry, szerokie potężne ramiona, twarde mięśnie, ciemne oczy i ponuro zaciśnięte szczęki. Podczas gdy rzadkie resztki włosów Yody sterczały w nieładzie, czaszka Mace'a była gładko wygolona, barwy polerowanego lammasu.

Lecz największa różnica kryła się w aurze, jaka otaczała obu mistrzów Jedi. Yoda emanował dobrotliwą mądrością, połączoną z chochlikowatym poczuciem humoru, charakterystycznym dla wszystkich prawdziwych

mędrców. Sędziwy wiek i wielkie doświadczenie sprawiały, że nieraz wydawał się odległy, jakby nieobecny duchem. Zbliżał się do dziewięćsetnego roku życia i w naturalny sposób oglądał wszystko z długowiecznej perspektywy. Mace z kolei został mianowany do Rady Jedi, zanim jeszcze ukończył trzydziestkę. Jego postawa była diametralnie różna. Szczupły. Energiczny. Spięty. Znać było po nim przenikliwy umysł i niezłomną wolę.

W czasie bitwy o Geonosis, która dała początek Wojnom Klonów, Mace był już w Radzie od ponad dwudziestu standardowych lat, a od dziesięciu nikt nie oglądał jego uśmiechu.

Sam zaczynał się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek się uśmiechnie.

– Ale to nie planeta Haruun Kal sprowadza cię ociekającego potem do tego gabinetu – zauważył Yoda. Ton jego głosu był lekki i wyrozumiały, lecz spojrzenie miało ostrość stali. – Depę martwisz się, czyż nie?

Mace opuścił głowę.

– Wiem, Moc przyniesie, co zechce, ale wywiad Republiki doniósł, że separatyści wycofali się, opuszczając bazę przy Pekel Baw...

– A jednak nie wróciła Depa.

Mace splótł palce. Głęboko oddychał, dzięki czemu jego głos nabrał głębszej i beznamietnej łagodności.

– Haruun Kal wciąż nominalnie jest planetą separatystów. A Depę ścigają. Niełatwo jej będzie opuścić ten świat ani nawet dać sygnał, żeby ją zabrać. Lokalna milicja wykorzystuje wszelkie sposoby zakłócania sygnałów, a to, czego nie uda im się zakłócić, namierzają; całe grupy partyzanckie padały ich ofiarą z powodu jednej nieostrożnej transmisji...

– Twoją przyjaciółką jest – Yoda wysunął kostur i dźgnął Mace'a w ramię. – O nią troszczysz się.

Mace unikał jego wzroku. Uczucie, jakie żywił do Depy Billaby, było głębokie.

Pozostawała na planecie od czterech standardowych miesięcy. Nie mogła składać regularnych raportów; Mace śledził jej działania na podstawie skąpych doniesień wywiadu Republiki: o sabotażu bazy myśliwców należącej do separatystów i o bezowocnych wyprawach milicji Balawai próbującej – bezskutecznie – zniszczyć lub choćby aresztować partyzantów Depy. Ponad miesiąc temu wywiad przekazał informację, że separatyści wycofali się do sektora Gevarno, bo nie mogli już dłużej utrzymać i bronić swojej bazy. Nigdy dotąd Depa nie odniosła takiego sukcesu.

Mace obawiał się jednak dowiedzieć, jakim kosztem.

– Przecież nie może chodzić o to, że zaginęła, albo... – mruknął. Ciemny rumieniec oblał jego nagą czaszkę, kiedy zorientował się, że wypowiedział tę myśl na głos. Wciąż czuł na sobie wzrok Yody, więc przeprasząco wzruszył ramionami. – Myślałem tylko, że gdyby została schwytana lub... lub zabita, nie byłoby powodu do takiej tajemnicy...

Zmarszczki wokół ust Yody pogłębiły się. Syknął cicho z lekką dezaprobatą, którą każdy Jedi rozpoznalby od razu.

– Niepoważne domysły są, jeśli cierpliwość wyjawi wszystko.

Mace w milczeniu skinął głową. Nikt nie sprzecza się z Mistrzem Yodą. W Świątyni Jedi człowiek uczy się tego od dziecka. Żaden z Jedi nigdy o tym nie zapominał...

– To irytujące, mistrzu. Gdyby tylko... dziesięć lat temu mogliśmy po prostu sięgnąć i...

– Żyć przeszłością Jedi nie może – przerwał surowo Yoda. Jego zielone oczy przypominały Mace'owi, że nie należy wspominać o cieniu, który okrył mrokiem odbieranie Mocy przez Jedi. O tym nie mówiło się poza Świątynią Jedi. Nawet tutaj.

– Członkiem Rady Jedi jest... Potężną Jedi. Doskonałą wojowniczką...

– Lepiej, żeby to się okazało prawdą. – Mace zmusił się do uśmiechu. – Szkoliłem ją.

– Ale martwisz się. Za bardzo. Nie tylko o Depę, ale o wszystkich Jedi. Od czasu Geonosis.

Uśmiech mu nie wychodził, więc przestał próbować.

– Nie chcę mówić o Geonosis.

– O tym od miesiący wiedziałem. – Yoda dźgnął go znów i Mace podniósł wzrok. Sędziwy mistrz pochylił się ku niemu, wysuwając uszy do przodu, a ogromne zielone oczy lśniły. – Ale kiedy mówić teraz chcesz, wysłuchać cię mogę.

Mace przyjął te słowa milczącym skinieniem głowy. Nigdy w to nie wątpił. Mimo wszystko wolął jednak mówić o czym innym.

O czymkolwiek innym.

– Spójrz na to miejsce – mruknął, skinieniem głowy obejmując rozległą przestrzeń gabinetu kanclerza. – Nawet teraz, po tylu latach, widać różnicę pomiędzy Palpatine'em a Valorumem. Inaczej wyglądał ten gabinet w tamtych czasach...

Yoda zrobił twierdzący ruch głową. Zawsze kiwał nią w przeciwnym kierunku.

– Finisa Valoruma pamiętam ja dobrze. Ostatnim z wielkiego rodu był. – W oczach Mistrza pojawiła się nagle pustka, jakby spoglądał wstecz poprzez dziewięćset lat swojego życia.

Godny zastanowienia był fakt, że Republika, tak zdawałoby się odwieczna w swoim tysiącletnim panowaniu, w istocie niewiele była starsza od Yody. W opowieściach, jakie Yoda snuł, o dawno zapomnianych młodych latach, Jedi mógł często dopatrzeć się młodości samej Republiki – dzielna, pewna siebie, przepelniona

witalnością panoszyła się po galaktyce, przynosząc pokój i sprawiedliwość kolejnym gromadom gwiazdnym, systemom i światom.

Dla Mace'a ten kontrast, nad którym zadumał się Yoda, był jeszcze bardziej niepokojący.

– Więż z przeszłością Valorum czuł. Zakorzenioną głęboko w glebie tradycji. – Gestem ręki Yoda zdawał się przywoływać lśniące politurą antyczne meble należące do Finisa Valoruma, jego dzieła sztuki i rzeźby z tysiąca światów. Gabinet wypełniała wtedy spuścizna trzydziestu pokoleń rodu Valorum. – Za głęboko może. Człowiekiem historii Valorum był, Palpatine... – Yoda powoli przymknął powieki. – Człowiekiem terażniejszości jest Palpatine...

– Mówisz tak, jakby ci to sprawiało ból.

– Sprawiać może. Ale dnia dzisiejszego ból mój dotyczy, nie tego człowieka.

– Ten gabinet teraz podoba mi się bardziej. – Mace skinieniem głowy wskazał na rozległą przestrzeń podłogi. Surowy. Bezpretensjonalny i bezkompromisowy. Mace uznał, że to okno ukazujące charakter Palpatine'a. Kanclerz żył wyłącznie dla Republiki. Skromnie ubrany. Bezpośredni w mowie. Niedbający o ozdoby i wygodę. – Szkoda, że nie może dotknąć Mocy. Byłby chyba doskonałym Jedi.

– Ale wtedy kolejnego Kanclerza potrzebowalibyśmy – łagodnie uśmiechnął się Yoda. – Lepiej może, że jest tak, jak jest.

Mace przytaknął temu rozumowaniu lekkim skinieniem głowy.

– Podziwiasz go.

Mace zmarszczył brwi. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Całe swoje dorosłe życie spędził pod rządami kanclerza Republiki... lecz przecież służył urzędowi, nie człowiekowi. Co zatem sądził o Kanclerzu jako o człowieku? A czy to miało jakieś znaczenie?

Chyba jednak miało. Mace wyraźnie pamiętał, co ukazała mu Moc, kiedy dziesięć lat temu obserwował zaprzysiężenie Palpatine'a na kanclerza Republiki. Palpatine sam był punktem rozpadu, od którego zależała przyszłość Republiki, ba, może nawet całej galaktyki. – Jediną inną osobą, którą mógłbym sobie wyobrazić na czele Republiki w tych ciężkich czasach, jest... – otworzył dłoń – ... jesteś ty, mistrzu.

Yoda zakolysał się na swoim fotelu i wydal szeleszczący syk, który służył mu za śmiech.

– Politykiem nie jestem, głupku.

Wciąż zdarzało mu się zwracać do Mace'a tak, jakby był studentem. Mace'owi to nie przeszkadzało. Czuł się wtedy odmłodzony. Wszystko inne ostatnio tylko przysparzało mu lat.

Śmiech Yody ucichł.

– Dobrym dowódcą dla Republiki bym nie był – zniżył głos jeszcze bardziej, prawie do szeptu. – Moje oczy ciemność zasnuwa, cierpienie i zniszczenie ukazuje mi Moc, nadejście długiej, długiej nocy. Bez Mocy lepiej przywódcom może być. Widzieć dobrze Palpatine młody zdaje się.

„Młody” Palpatine – co najmniej o dziesięć lat starszy od Mace'a, a wyglądający jeszcze na dwa razy więcej – wybrał właśnie ten moment, aby pojawić się w gabinecie. Za nim wszedł jeszcze jeden człowiek. Yoda zsunął się z fotela, Mace podniósł się z szacunkiem. Obaj mistrzowie Jedi oficjalnym ukłonem powitali Kanclerza Republiki. Palpatine machnięciem dłoni skwitował te uprzejmości. Wydawał się zmęczony: mięśnie jakby zanikły pod obwisłą skórą zapadniętych głęboko policzków.

Towarzyszający mu człowiek był niewiele wyższy od dziecka, choć z pewnością przekroczył czterdziestkę: chudy, o rzadkich ciemnych włosach okalających twarz tak bezbarwną, że Mace mógłby ją zapomnieć, gdyby bodaj na moment odwrócił wzrok. Oczy miał podkrążone i zaczerwienione, przy nosie trzymał płócienną chusteczkę. Wydawał się jakimś pomniejszonym urzędnikiem, funkcjonującym gdzieś w zapadłych czeluściach rządowych biur, z ubezpieczeniem i wypłatą i absolutnie niczym więcej. Mace natychmiast uznał, że to szpieg.

– Mamy nowiny o Depie Billabie.

Mimo wcześniejszych przemyśleń zwykły smutek w głosie kanclerza sprawił, że żołądek Mace'a ścisnął się boleśnie.

– Ten człowiek wrócił właśnie z Haruun Kal. Obawiam się... cóż, może sami powinniście zobaczyć dowody.

– Co to jest? – Mace poczuł w ustach suchość popiołu. – Została aresztowana? Już od Geonosis było wiadomo, jaki los szykują schwytanym Jedi separatyści Dooku.

– Nie, Mistrzu Windu – odparł Palpatine. – Obawiam się... obawiam się, że to coś znacznie gorszego...

Agent otworzył sporą walizkę i wyjął z niej staroświecki holoprojektor. Przez moment manipulował kontrolkami, aż nad lustrzaną ebonitową taflą, która służyła Palpatine'owi za biurko, pojawił się obraz.

Yoda położył uszy płasko do tyłu i zwęził oczy w szparki.

Palpatine odwrócił wzrok.

– Ja już się dość napatrzyłem – wyjaśnił.

Mace zwinął dłonie w pięści. Nie mógł złapać tchu.

Mzące ciała na hologramie miały wielkość jego palca. Naliczył ich dziewiętnaście. Wydawały się ludzkie, a może humanoidalne. Otaczało je kilka prefabrykowanych chat, spalonych, rozbitych, rozniesionych na strzępy.

Ruiny czegoś, co kiedyś zapewne było twierdzą, otaczały scenierię jak pierścień. Dżungla miała wysokość czterdziestu centymetrów i zajmowała półtora metra blatu biurka Palpatine'a.

Po chwili agent chrząknął przepaszająco.

– To jest...eee... wydaje się, że to robota lojalistowskich partyzantów, pod dowództwem mistrza Billaby.

Yoda wytrzeszczył oczy.

Mace wytrzeszczył oczy.

Te... te rany... Mace potrzebował lepszego obrazu. Sięgnął w głąb dżungli – jego dłoń zapulsowała jaskrawymi falami laserów skanującej matrycy projektora.

– Te tutaj.

Przesunął dłonią nad grupą trzech ciał zięjących ogromnymi ranami.

– Powiększ je.

Agent wywiadu Republiki odpowiedział, nie odrywając chusteczki od zaczerwienionych oczu:

– Uhm... ja... Mistrzu Windu... ten zapis jest... eee... dość nieskomplikowany... prawie prymitywny... – reszta zdania znikła w potężnym kichnięciu, które rzuciło nim do przodu, jakby ktoś uderzył go w tył głowy. – Przepraszam... przepraszam... mój system nie toleruje środków antyhistaminowych... za każdym razem, kiedy jestem na Coruscant...

Dłoń Mace'a ani drgnęła. Nie podniósł głowy. Czekał, aż skomlenie agenta całkiem ucichnie. Dziewiętnaście trupów. A ten człowiek uskarża się na swoją alergię.

– Powiększ to – powtórzył.

– Ja... tak, oczywiście, proszę pana. – Agent pokręcił przy kontrolkach projektora dłonią, która jeszcze nie drżała. Jeszcze nie. Dżungla zamigotała i znikła. W chwilę później pojawiła się znowu, zajmując tym razem dziesięć metrów podłogi. Splątane gałęzie holograficznych drzew utworzyły lśniące wzory na suficie, ciała nabrały połowy naturalnej wielkości.

Agent przechylił głowę, wściekle trąc nos chusteczką.

– Przepraszam, Mistrzu Windu. Przepraszam. Ale system jest...

– Prymitywny. Wiem. – Mace przedzierał się przez świetlne obrazy, aż znalazł się obok ciał, które go zainteresowały. Przykucnął opierając łokcie na kolanach i splótł dłonie przed twarzą.

Yoda podszedł bliżej i też przycupnął, wyciągając szyję, żeby lepiej widzieć. Po chwili Mace podniósł wzrok i spojrzał w smutne zielone oczy.

– Widzisz?

– Tak... tak – wyskrzeczwał Yoda. – Ale wniosków z tego wyciągnąć nie możesz...

– Właśnie o to mi chodzi.

– A jeśli chodzi o tych z nas, którzy nie są Jedi... – głos wielkiego kanclerza Palpatine'a brzmiał pełną ciepłą siłą, charakterystyczną dla zawodowych polityków. Okrążył biurko, ubierając twarz w nieco zadumany uśmiech człowieka, który w obliczu paskudnej sytuacji wciąż ma nadzieję, że wszystko ułoży się jak należy. – Może wyjaśnicie nam, w czym rzecz?

– Oczywiście. Inne ciała niewiele nam powiedzą, bo są albo w stanie rozkładu, albo na wpół pożarte przez drapieżniki. Na tych jednak widać pewne uszkodzenia tkanek miękkich, o tu... – dłoń Mace'a zakreśliła łuk wzdłuż otwartych ran przecinających holograficzny tors kobiety – ...które nie powstały od szponów ani zębów... Nie pochodzą też od broni z zasilaniem... Widzicie te otarcia na żebrach? Miecz świetlny, nawet wibroostrze, przecięłoby kość na dwie części. Tę ranę zadano martwym ostrzem, sir.

Twarz wielkiego kanclerza wykrzywiło obrzydzenie.

– Martwe ostrze... Chcesz powiedzieć, kawałek metalu? Ostry kawałek metalu?

– Tak, proszę pana, ostry kawałek metalu. – Mace przechylił głowę o centymetr w prawo. – Albo ceramiki. Transpastali. Nawet karbonitu.

Palpatine odetchnął głęboko, jakby tłumiąc drżenie.

– To brzmi... niewiarygodnie brutalnie. To musi być bolesne...

– Czasami tak, proszę pana. Nie zawsze. – Nie wyjaśnił, skąd to wie. – Ale te cięcia są równoległe, wszystkie prawie tej samej długości... Możliwe, że kobieta nie żyła, kiedy je zadano. A przynajmniej była nieprzytomna.

– Albo... – siąknął agent i zakasłał przepaszająco. – Albo po prostu... eee... no wie pan, związana.

Mace wybałuszył oczy. Yoda przymknął powieki, a Palpatine spuścił głowę, jakby z bólu.

– Eee... konflikt na Haruun Kal... ma całą historię... cóż, można by je tak nazwać... rozrywkowych tortur. Po obu stronach. – Agent zaczerwienił się, jakby sam fakt wiedzy o takich sprawach go zawstydział. – Czasem ludzie... ludzie tak bardzo nienawidzą... że samo zabicie wroga nie wystarczy.

Jakaś ogromna pięść ścisnęła serce w piersi Mace'a: ten mały niezgłówny człowieczek... ten cywil... jak on mógł oskarżać Depeę Billabę o taką potworność, choćby w domyśle! Ogarnęła go ślepa furia. Długie, zimne spojrzenie odnalazło wszystkie miejsca na miękkim ciele tego człowieka, gdzie jeden ostry cios oznaczałby śmierć. Agent poblądł, jakby też mógł je dokładnie policzyć w oczach Mace'a.

Lecz Mace zbyt długo był Jedi, aby poddać się gniewowi. Jeden czy dwa oddechy rozluźniły pięść zaciśniętą na jego sercu. Wstał.

– Nie widzę nic, co wskazywałoby na udział Depy.

– Mistrzu Windu... – zaczął Palpatine.

– Jaka była wartość militarna tego przyczółka?

– Wartość militarna? – Agent wydawał się zaskoczony. – Ależ żadna... tak mi się zdaje. To byli poszukiwacze dżungli Balawai... Szperacze, tak ich nazywają. Kilku szperaczy działa jak nieformalna milicja, ale to prawie zawsze mężczyźni. Tu zaś mamy sześć kobiet...